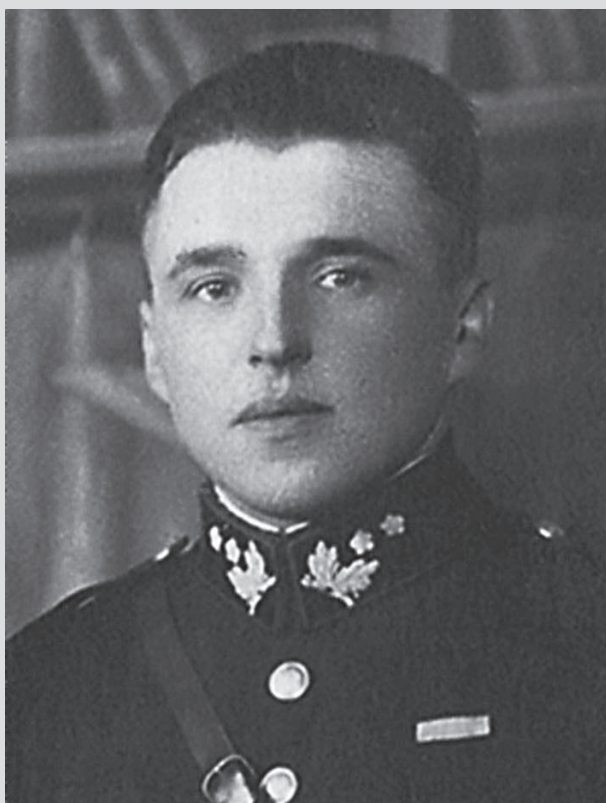




Jan Bińczyk (1900 – 1943)

Leśniczy JAN BIŃCZYK ps. Zagłoba

(1900-1943)



Jan Bińczyk, syn Jakuba i Marianny z domu Wirkus, urodził się 26 grudnia 1900 roku w Borowym Młynie niedaleko Chojnic, na terenie ówczesnego Nadleśnictwa Osusznica podlegającego Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu. Po ukończeniu w rodzinnej miejscowości siedmioklasowej szkoły powszechnej kształcił się w Państwowej Szkole dla Leśniczych w Margoninie. Praktykę zawodową i staż odbywał na terenie kilku nadleśnictw w Borach Tucholskich, m.in. w Nadleśnictwie Szarłata, gdzie w Pruskich poznał swoją przyszłą żonę Klarę, z którą ożenił się w 1923 roku. Jan i Klara Bińczykowie mieli trzech synów: Henryka, Zygmunta i Witolda oraz córkę Irenę.

Na przełomie lat 1928 i 1929 Jan Bińczyk objął Leśnictwo Młynek wchodzące wówczas w skład Nadleśnictwa Laska. Ze względu na położenie tego nadleśnictwa w strefie przygranicznej z III Rzeszą niemiecką, miejscowi leśnicy uczestniczyli w szkoleniach Przysposobienia Wojskowego Leśników, a Jan Bińczyk również w zakresie dywersji pozafrontowej. Po wybuchu II wojny światowej pełnił nadal funkcję leśniczego w Młynku, jednak podlegał – podobnie jak pozostali polscy leśnicy – okupacyjnej, niemieckiej administracji leśnej.

Po powstaniu Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” 7 lipca 1941 roku został komendantem struktur tej organizacji na powiat chojnicki. Używał pseudonimu konspiracyjnego „Zagłoba”. W leśniczówce Młynek odbyło się kilka spotkań komendy powiatowej i Rady Naczelnej „Gryfa Pomorskiego”. Jan Bińczyk, przy współpracy członków własnego oddziału partyzanckiego oraz synów Henryka i Zygmunta, zorganizował na terenie Leśnictwa Młynek sieć schronów i bunkrów leśnych, które stanowiły miejsca schronienia dla partyzantów „Gryfa” i ludzi zagrożonych aresztowaniem.

Prawdopodobnie w wyniku zdrady wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez Niemców w jego leśniczówce w nocy z 3 na 4 maja 1943 roku. Podjął obronę i został poważnie ranny. Aresztowany wraz z synem Zygmuntem oraz dwoma innymi partyzantami „Gryfa” – jego sekretarzem Cyrylem Zalewskim i Oskarem Halamą – leśniczym Leśnictwa Laska. Poddany kilku operacjom zmarł w niemieckim szpitalu więziennym w Gdańsku 20 maja 1943 roku. Pochowany na miejscowym cmentarzu. Staraniem rodziny ekshumowany w 1972 roku i przeniesiony na Cmentarz Wojenny w Brusach, gdzie spoczywają również m.in. nadleśniczy Nadleśnictwa Giełdoń Mikołaj Kudłowicz i siedmiu partyzantów poległych w walce przy „Zielonym Pałacu” koło Męcikału.

Dwa miesiące po śmierci Jana Bińczyka cała jego rodzina została wyrzucona z leśniczówki i wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Potulicach, gdzie wkrótce zmarła najmłodsza córka leśniczego – Krystyna. Syn leśniczego Henryk do końca wojny ukrywał się w lesie, kontynuował działalność w oddziale partyzanckim „Gryfa Pomorskiego”, został ciężko ranny podczas jednej z akcji bojowych.

Po wojnie, wszyscy trzej synowie leśniczego Jana Bińczyka: Henryk (1923-2006), Zygmunt (1926-2008) i Witold (1937-2008), zdobyli wykształcenie leśne i całe życie zawodowe przepracowali w Lasach Państwowych.

Tadeusz Chrzanowski

Mój ojciec, JAN BIŃCZYK

Jan Bińczyk, syn Jakuba i Marianny z domu Wirkus, urodził się 26 grudnia 1900 roku w Borowym Młynie na terenie Nadleśnictwa Osusznica (przed wojną Dyrekcja Lasów Państwowych w Toruniu, dzisiaj Dyrekcja LP w Szczecinku). Była to duża wieś tuż przy granicy polsko-niemieckiej, położona między Chojnicami, które były w Polsce, a Bytowem, który w okresie międzywojennym należał do Niemiec. Rodzice Jana mieli gospodarstwo rolne, które było podstawą utrzymania całej rodziny. Jan był najmłodszy pośród rodzeństwa. Miał dwóch braci i trzy siostry. Jeden z braci, Józef, zginął w czasie I wojny światowej. Drugi, Jakub, wyjechał do Berlina, gdzie pracował jako urzędnik kolejowy.

SZKOŁA DLA LEŚNICZYCH W MARGONINIE

Jan Bińczyk ukończył z wyróżnieniem siedmioklasową szkołę powszechną w Borowym Młynie. Był zdolnym uczniem, więc zaproponowano mu dalszą edukację w szkole średniej, którą sobie wybierze. Nie było z tym problemu, gdyż Jan od najmłodszych lat był zdecydowany zostać leśnikiem. Kochał las, marzył o mundurze leśnika i zamieszkaniu w leśniczówce. Trafił do Państwowej Szkoły dla Leśniczych w Margoninie, którą ukończył. Pracę rozpoczął jako praktykant leśny w Łążku koło Osia, w Nadleśnictwie Szarłata. Tam poznał swoją przyszłą żonę, Klarę Kołodziejską (ur. 4 kwietnia 1901), która mieszkała w Pruskich. Kołodziejscy mieli duże gospodarstwo, w tym spory areał lasu. W tamtym czasie Jan uczestniczył w szkoleniach zawodowych dla leśników. Został powołany do wojska pruskiego, które już po kilku miesiącach, gdy wybuchło Powstanie Wielkopolskie, opuścił, wstępując do Wojska Polskiego.

Pani Irena Hunker z domu Bińczyk, która w 2008 roku opowiedziała mi historię swojego ojca Jana Bińczyka i swojej rodziny, pamięta sprzed wojny licz-

ne fotografie ojca w mundurze żołnierza polskiego. Prawie wszystkie zaginęły podczas wojny.

MAŁŻEŃSTWO I DZIECI

Jan Bińczyk ożenił się z Klarą Kołodziejską w 1923 roku. Klara miała dziewięcioro rodzeństwa – cztery siostry i pięciu braci. Po ślubie Jan i Klara Bińczykowie zamieszkali w Jeżewnicy, w powiecie świeckim, gdzie w 1923 roku urodził się ich pierwszy syn, Henryk. Później przenieśli się do Żelgniewa, powiat Chodzież, przy samej granicy z Niemcami, gdzie w 1926 roku urodził się drugi syn Zygmunt, a rok później Irena. Po kilku latach, rodzina Bińczyków przeniosła się do Leśnictwa Młynek w Nadleśnictwie Laska. Było to prawdopodobnie w 1928 roku. Tu osiedlili się na dobre.

LEŚNICZÓWKA MŁYNEK

Leśniczówka Młynek została wybudowana w latach 1912-1913. Był to – jak wspomina Pani Irena – wciąż nowy, zadbane budynek z pięknie zagospodarowanym otoczeniem: budynkami gospodarczymi, ogrodem pełnym kwiatów i stawem. Przy leśniczówce funkcjonowało gospodarstwo, w którym okresowo hodowano nawet dwanaście krów mlecznych. Wzdłuż brzegów jeziora Płesno i rzeki Brdy rozciągały się łąki i pastwiska, które jako deputat rolny utrzymywał leśniczy. Przez cały sezon pasły się tam krowy. W oborze była też trzoda, a ponadto, leśniczy miał trzy konie, które były używane do jazdy wierzchem, bryczką, a zimą saniami. Było też pokaźne stado kur z pięcioma kogutami, indyki, kaczki, perliczki. Podwórko było porządkowane i zagrabiane w każdą sobotę po południu. Prace te wykonywali chłopcy z pobliskich miejscowości, zatrudnieni jako pomoc do gospodarstwa przydomowego.

Leśniczówka składała się z kilku pomieszczeń. Z dworu wchodziło się do holu, a z niego było zejście do piwnicy, bo cały dom był podpiwniczony. W piwnicy było pomieszczenie z piecem oraz pokój mieszkalny dla służącego, którym był chłopak z okolicznej wsi. Na parterze na wprost było wejście do kancelarii, obok był mały pokój gdzie jadało się posiłki, dalej kuchnia. Za kancelarią mieściła się sypialnia, dalej duży pokój stołowy. W kancelarii był telefon, stała szafa z książkami i druga szafa z ubraniami – mundurowymi i cywilnymi. Była tam kanapa, rzeźbiony stół, biurko leśniczego, stojak na broń myśliwską i fotel z poręczami, wykładany skórą. Na ścianach wisiały okazałe poroża jelenia i parostki sarny, a na podłodze leżała skóra z dzika. Na piętrze leśniczówki były dwa pokoje, pomieszczenie gospodarcze i strych. W jednym z pokoi na piętrze mieszkała służąca, która pomagała gospodyni w pracach domowych. Inna dziewczyna, Stefcia, która mieszkała razem ze służącą, była bardzo bliską osobą dla rodziny Bińczyków. Mieszkała u nich przez szesnaście lat i była towarzyszką dla żony

leśniczego i dzieci. Wyprowadziła się z leśniczówki po przedwczesnej śmierci Klary Bińczyk w 1937 roku.

Pani Irena wspomina, że ojciec zawsze chodził w mundurze leśniczego, nawet w niedzielę do kościoła. Do lasu najpierw jeździł rowerem, później konno, wierzchem, wreszcie w 1938 roku kupił sobie motocykl, który bardzo ułatwiał kontakty ze światem, zwłaszcza dojazdy do Brus i Chojnic.

W pobliżu leśniczówki Młynek była, i do dzisiaj istnieje, osada robotnicza, w której mieszkały dwie rodziny – Peplińscy i Kundowie. Peplińscy mieli pięcioro dzieci, a u Kundów było ich co najmniej dziesięcioro. Pepliński i Kunda byli etatowymi robotnikami leśnymi, wykonywali wszelkie prace na terenie Leśnictwa Młynek. Przodownikiem brygady robotników był Orłowski z Asmusa. W brygadzie pracował jeszcze Matuszewski. Sezonowo leśniczy zatrudniał dodatkowo kilku, a nawet kilkunastu pracowników do prac głównie w ochronie lasu.

WAŻNE WYKSZTAŁCENIE DZIECI

W latach szkolnych 1931-1934 dzieci leśniczego: Henryk, Zygmunt i Irena mieszkały w Brusach, w wynajętym mieszkaniu, pod opieką cioci Ani, siostry ze strony mamy. Henryk chodził do szkoły, natomiast dwójka młodszych dzieci do ochronki prowadzonej przez siostry zakonne. Henryk był zdolnym uczniem. Później uczęszczał do gimnazjum w Toruniu, będąc o dwa lata młodszym od kolegów z klasy. Mieszkał u wujostwa aż do 1939 roku. Wybuch II wojny światowej uniemożliwił mu jednak ukończenie czwartej klasy i zdanie matury.

W ostatnim roku przed wojną leśniczy Jan Bińczyk podjął starania o przeniesienie służbowe do Leśnictwa Piwnice pod Toruniem. Uzyskał na to zgodę Dyrekcji Lasów Państwowych w Toruniu i z dniem 1 września 1939 roku miał się przenieść do nowego miejsca pracy. Decyzja taka była podyktowana głównie troską o wykształcenie dzieci, co było łatwiejsze do realizacji przy zamieszkiwaniu blisko granic dużego miasta. Do przeprowadzki jednak nigdy nie doszło, gdyż wybuchła wojna.

Brat Pani Ireny, Zygmunt hodował króliki i gołębie, z którymi miał sporo zajęć. Ona zaś, jak wspomina, miała trzydzieści lalek, a to dlatego, że przepadała za małymi dziećmi i bardzo liczyła, że w jej rodzinie pojawi się młodsze potomstwo. Uwielbiała odwiedziny w pobliskiej osadzie robotniczej, gdzie było dużo małych dzieci. Chodziła tam niekiedy z mamą z koszem pełnym smakołyków. Po powrocie z ochronki w Brusach, mała Irena uczęszczała do czteroklasowej szkoły podstawowej w Małych Chełmach, oddalonych od leśniczówki Młynek o siedem kilometrów drogi przez las.

SPOTKANIA LEŚNYCH RODZIN

Rodzina Bińczyków blisko przyjaźniła się z rodzinami Kopickich i Meggerów. Franciszek Kopicki był leśniczym Leśnictwa Asmus, a Stanisław Megger w Le-

śnictwie Czernica. Leśne rodziny odwiedzały się często, szczególnie w sezonie letnim i jesiennym. Rozstawiane były stoły za ogrodzeniem leśniczówki, pod dużym kasztanem lub w pobliżu mostu na drodze do Drzewicza. Każda z żon leśniczych jadąc w gościnę przywoziła jakieś smakołyki.

Leśniczy Bińczyk był myśliwym. Od 15 lipca zaczynał się sezon polowania na kaczki. Tradycyjnie polowanie to odbywało się na terenie Leśnictwa Młynek, gdzie było dużo terenów nadjeziornych z ogromną liczbą kaczek. Przyjeżdżał nadleśniczy inżynier Józef Pietraszek, koledzy leśniczowie i jeszcze grupa myśliwych z okolicznych majątków i tartaku. Z leśników byli to m.in. Franciszek Kopicki (Leśnictwo Asmus), Władysław Rolbiecki (Leśnictwo Widno), Stanisław Megger (Leśnictwo Czernica), Oskar Halama (Leśnictwo Laska) i Marian Jagła (Leśnictwo Warszyn).

ŚMIERĆ MAMY

Przez kilka lat na stodole przy leśniczówce Młynek bociany budowały sobie gniazdo. Mała Irena miała nadzieję, że któregoś dnia przyniosą jej braciszka lub siostrzyczkę. W 1937 roku, dokładnie 21 stycznia, urodził się Jan Witold, najmłodszy z braci Bińczyków. Była wtedy mroźna zima. Służący udał się w nocy do Brus po akuszerkę, jednak tej wcześniej zamówionej nie zastał. W zastępstwie przywiózł drugą, która miała złą sławę. I tym razem ta zła opinia znalazła potwierdzenie. Wkrótce po porodzie Klara Bińczyk dostała wysokiej gorączki. Mimo pomocy lekarskiej nie udało się już uratować jej życia, zmarła po tygodniu. Leśniczy został wdowcem, dzieci półsierotami.

Po śmierci mamy zabrakło gospodyni w leśniczówce i opiekunki dla dzieci. Po długich konsultacjach w rodzinie Bińczyków i Kołodziejskich, w czerwcu 1937 roku, przyjechała do leśniczówki młodsza siostra mamy, Marta. Na prośbę swojej matki zrezygnowała z pracy i zamieszkania w Toruniu. Miała wtedy zaledwie 21 lat. Zajęła się gospodarstwem domowym i opieką nad dziećmi. Robiła to bardzo dobrze. W leśniczówce zawsze był porządek i wszystko zrobione na czas. Na tydzień przed wybuchem wojny Jan Bińczyk zawarł związek małżeński z Martą.

Jan Bińczyk był dobrze zorganizowanym człowiekiem. Był przy tym pracowity, wymagający od siebie i od innych. Stałe dochody z pracy zawodowej i dobrze prowadzonego gospodarstwa rolnego pozwalały myśleć o nowych inwestycjach i starannym wykształceniu dzieci. Zamierzał nawet zakupić kamienicę czynszową w budującej się wówczas Gdyni. Miał taki plan, że najstarszy z synów Henryk, który tymczasem uczęszczał do Gimnazjum w Toruniu i uczył się bardzo dobrze, po zdaniu matury trafi na studia do Wyższej Szkoły Marynarki i wtedy zamieszka w zakupionym domu.



Leśnicy Jan Bińczyk (stoi pierwszy z prawej) z żoną Klarą (siedzi pierwsza z prawej) na spotkaniu rodzinnym podczas Świąt Bożego Narodzenia w Toruniu w 1931 roku. Fot. archiwum Ireny Hunker



Uroczystość I Komunii Świętej Ireny i Zygmunta Bińczyków (stoją po środku z gromnicami) w leśniczówce Młynek, w maju 1938 roku. Leśniczy Jan Bińczyk siedzi drugi od prawej z synem Witoldem na kolanach. Pierwszy od lewej stoi Jan Stetkiewicz, leśniczy pobliskiego Leśnictwa Drzewicz. Fot. archiwum Ireny Hunker

WYBUCHŁA WOJNA

Tymczasem, we wrześniu 1939 roku, wybuchła wojna. Nikt nie wierzył, że Polska ją przegra. Młode pokolenie otrzymywało wówczas patriotyczne wychowanie i to zarówno w szkole, jak i w domu. Pani Irena wspomina, że dzieci znały liczne pieśni wojskowe i patriotyczne. Uczyły się ich głównie w szkole, ale w domu ojciec też zachęcał do śpiewania. Do dzisiaj pamięta wiele z nich: „Ułani, ułani”, „Wojenko, wojenko”, „Maszerują chłopcy, maszerują”, „Morze, polskie morze”, „Na Podolu biały kamień”. Przedwojenny nauczyciel śpiewu zawsze miał wykształcenie muzyczne, musiał grać na instrumencie, najczęściej na skrzypcach. Dzieci chętnie się uczyły tych pięknych melodii i piosenek.

Wojna pokrzyżowała plany ojca związane z przeniesieniem służbowym do Leśnictwa Piwnice pod Toruniem. Leśnicy otrzymali zadania związane z ewakuacją na Wschód. Rodziny Bińczyków i Kopickich miały dotrzeć w okolice Nieszawy. Na kilka dni przed 1 września żony z dziećmi pojechały pociągiem przez Chojnice, Toruń do Nieszawy. Leśniczowie, zgodnie z poleceniem przełożonych, na razie pozostali na miejscu w leśniczówkach. Otrzymali zadanie zabezpieczenia i przewiezienia wozem konnym dokumentacji i kasy pancernej Nadleśnictwa Laska. Jednak, w okolicach Świecia były prowadzone już wówczas intensywne bombardowania. Zginęło wielu ludzi i konie. Zaginął też cały majątek nadleśnictwa. Dwaj leśniczowie, Bińczyk i Kopicki w dramatycznych okolicznościach przepłynęli niezależnie przez Wisłę, bo most był zniszczony. Po kilku dniach szczęśliwie spotkali się ze swoimi rodzinami w Nieszawie.

POD OSTRZAŁEM NIEMIECKICH SAMOLOTÓW

Pani Irena wspomina, że przed ewakuacją leśnicy otrzymywali sześciomiesięczne odprawy. Pieniądze te przydały się na zakupy żywności, konia i wozu na dalszą drogę ewakuacji. Obie rodziny wyruszyły z Nieszawy nazajutrz. Podążyli przez Włocławek razem z tłumami ludności cywilnej. Największe trudności były przy przeprawach przez rzekę. We Włocławku konia trzeba było zostawić. Dalej pojechali pociągiem w kierunku na Warszawę i docelowo do... Rumunii. Jechali przez Kutno. Co jakiś czas obserwowali na niebie zwiadowcze samoloty niemieckie. Za Kutnem pociąg dojechał do Żychlina, gdy pod wieczór zaczął się ostrzał pociągu z samolotów niemieckich. Wszyscy położyli się na podłodze. Kule gwizdały nad głowami, powybijały szyby, podziurawiły ściany. Szczęśliwie nikt z nich nie zginął. Na stacji w Żychlinie wysiedli z pociągu i biegiem dotarli do zadrzewień. Na oczach rodziny bomba z samolotu trafiła w drzewo, pod którym stali dwaj żołnierze. Zginęli, została po nich wyrwa w ziemi i jeden zakrwawiony but. Druga bomba spadła dwa metry od nich, nie wybuchła, i ten nalot przeżyli. Zbliżała się noc. Ludzie przenieśli się do pobliskiej, dużej mlecarni, gdzie doczekali poranka. Rano kupili kolejny wóz i konia. Ruszyli wraz

z wojskiem w kierunku Łowicza. Przeżyli bombardowanie Łowicza. To był jeden wielki ogień. Widzieli bombardowania szpitala, słyszeli krzyk rannych i umierających ludzi.

W Łowiczu mieszkało wielu Żydów. To głównie oni rozpaczali, krzyczeli, nawoływali się – utracili sklepy, majątek. Całe centrum miasta było spalone. Z wielkimi trudnościami przejechali przez zburzone miasto. Jeszcze kilka razy ukrywali się w zbożu, ziemniakach, kapuście przed ostrzałem z samolotów. Dotarli do Sochaczewa, a nad ranem do Warszawy. Miasto było jeszcze przejezdne. Po południu dojechali do Garwolina. To miasto było spalone doszczętnie. Sterczały tylko dopalające się, częściowo zburzone kominy. Tu, w Garwolinie zebrały się tłumy uciekinierów. O zmierzchu w nieodległych lasach rozgorzała prawdziwa bitwa. Wojskowi nie udzielali żadnych informacji, natomiast nakazywali cywilom zawracanie z drogi na Lublin. Niemcy w każdej chwili mogli przeciąć im drogę ewakuacji. Taką też decyzję podjęli Bińczykowie i Kopiccy. Postanowili wracać do domu, przez Warszawę.

POWRÓT PRZES WARSZAWĘ DO MŁYNKA

Tabory wracające drogą do Warszawy były wielokrotnie w ciągu dnia bombardowane i ostrzeliwane z samolotów. Szlak wyścielony był trupami ludzi i zwierząt. Polami, bocznymi drogami, lasem dotarli wieczorem do Warszawy od strony Grochowa. Z końmi nie wpuszczano już do miasta. Trzeba było zostawić konia na łące. Pieszko, w rosnącym tłumie ludzi, doszli do centrum miasta. Otrzymali miejsce noclegowe dla uchodźców w budynku przy ul. Chmielnej w pobliżu kina „Bałtyk”. Były to duże całkowicie puste sale, które wkrótce wypełniły się ludźmi. Z największym trudem zdobywali żywność.

W czasie pobytu w Warszawie dowiedzieli się, że Sowietci dokonali od wschodu agresji na Polskę. To była przygnębiająca wiadomość. Przez najbliższe dni Warszawa była intensywnie bombardowana. Niczym deszcz i grad z nieba leciały bomby. Miasto płonęło. Po wodę chodziło się do Wisły. Właśnie z tamtego miejsca Pani Irena widziała płonący Zamek Królewski, który bombardowali niemieccy lotnicy.

Bińczykowie przeżyli też kapitulację Warszawy i przemarsz niemieckich wojsk okupacyjnych przez stolicę. Jan Bińczyk biegle znał język niemiecki. Okazało się to bardzo pomocne w organizacji życia pod administracją niemiecką i później w drodze powrotnej do leśniczówki w Młynku. Z różnymi przygodami, ale w komplecie dotarli w Bory Tucholskie. Rodzina zatrzymała się u dziadków w Prusich, natomiast leśniczy Bińczyk musiał przygotować leśniczówkę na zimę. Okazało się bowiem, że znikły wszystkie meble, zostały rozkradzione. Uznano widocznie, że rodzina leśniczego już nie wróci. Opustoszały budynki gospodarcze, trzeba było przygotować zapasy żywności, opał i starać się

odzyskać skradzione sprzęty domowe. W dużej części się to w końcu udało. Leśniczy dotarł do domu byłej służącej, u której znalazł sporo mebli z leśniczówki. Jednak ze zwrotem były problemy, musiała interweniować policja, już niemiec-ka. Leśniczy jednak zabiegał o to, by za tę kradzież sprawcy nie ucierpieli. To była wielodzietna, uboga rodzina.

Dopiero na Boże Narodzenie rodzina Bińczyków w komplecie i z jako takim wyposażeniem przywróconym leśniczówce była znowu razem. Pani Irena wspomina, że z nowego związku małżeńskiego jej ojca z ciotką Martą, 20 maja 1940 roku, urodziła się Krystyna.

OJCIEC W KONSPIRACJI

Pani Irena domyślała się, że ojciec działa w polskiej konspiracji. Przez leśnicówkę przewijało się wiele osób, co jednak na początku nie budziło podejrzeń Niemców, gdyż interesanci u leśniczego byli zjawiskiem naturalnym. Tu załatwiano się drewno, prace w lesie, prace w gospodarstwie, ubój zwierząt. Pamięta dobrze, że sporo żywności przygotowywano dla ludzi ukrywających się w lasach. Dowiedziała się później od starszych braci, że przy udziale ojca i jego synów wybudowano kilka bunkrów na terenie Leśnictwa Młynek. W bunkrach w lesie mieszkała spora grupa partyzantów „Gryfa Pomorskiego”. Pani Irena nie wie, kim byli. Znała tylko ich imiona. Chociaż na terenie Leśnictwa Młynek funkcjonowało kilka bunkrów, to o tym w domu się nie mówiło przy dzieciach. W czasie wojny Pani Irena przewoziła rowerem informacje pomiędzy ojcem, a innymi członkami konspiracji, np. do Męcikału, do młyna w Czernicy, do Meggerów. Nie znała znaczenia i wagi tych przekazów, były szyfrowane.

PRZYJECHALI PO OJCA

Pani Irena pamięta, że od początku 1943 roku co jakiś czas docierały informacje o wykryciu bunkrów gdzieś na terenie Borów Tucholskich, o przypadkach zdrady, obławach niemieckich, o śmierci niektórych partyzantów i osób ukrywających się w bunkrach. Pamięta dobrze 3 maja 1943, kiedy ojciec Jan Bińczyk poszedł o zmierzchu do lasu i wiedziała, że miał odwiedzić bunkry z racji przypadającego na ten dzień polskiego święta narodowego. Ojciec był wielkim patriotą. Święta narodowe były uroczyście obchodzone w leśniczówce jeszcze w czasach pokoju. Odwiedził tego dnia partyzantów i prawdopodobnie wspólnie śpiewano pieśni patriotyczne, podejmowano bieżące sprawy konspiracji, omawiano plany odbudowy Polski, już wkrótce, gdy Niemcy przegrają wojnę. W sprawy konspiracji była wtajemniczona Marta, żona leśniczego. Była nawet taka umowa, żeby w przypadku niebezpieczeństwa otwierać okno na górze leśniczówki lub wejście do piwnicy, bądź zostawiać inny uzgodniony znak. Ojciec wracając z lasu, już z daleka wiedziałby o zagrożeniu.

4 maja 1943 roku, około godziny piątej rano, do leśniczówki weszli dwaj agenci gestapo. Zbudzili całą rodzinę i zgromadzili wszystkich w pokoju stołowym. Zakazali zbliżać się do okna i nawet patrzeć w tamtą stronę. Spyтали gdzie jest leśniczy Jan Bińczyk. Jego żona Marta odpowiedziała, że poszedł do lasu. Kolejne pytanie – O tej porze do lasu? Żona leśniczego była przygotowana na taką okoliczność i wyjaśniła, że ze względu na nocne kradzieże drewna leśniczy o różnych porach nocy patroluje teren. Niemcy zamknęli rodzinę w pokoju na klucz wraz z umundurowanym i uzbrojonym żołnierzem niemieckim. Zakazali rozmawiać, wychodzić do toalety, nawet ruszać się. Służącą posadzili w kuchni, plecami do okna i pod groźbą rozstrzelania zakazali jakiegokolwiek ruchu. Niemcy obstawili pozostałe pomieszczenia w leśniczówce – byli w piwnicy, na parterze i na piętrze, tylko na zewnątrz się nie ujawniali, by nie ostrzec leśniczego, który będzie wracał z lasu. Po upływie dwóch godzin, za zamkniętymi drzwiami domownicy usłyszeli jakiś szum, przyspieszone kroki, jakieś szarpanie i zatraskujące się drzwi, prawdopodobnie od kancelarii. Wiedzieli, to wrócił z lasu ojciec Jan Bińczyk. Później nastąpiła cisza. I znowu głucho uderzenia, jęki, brzęk tłuczonego szkła. Była to prawdopodobnie desperacka próba leśniczego ucieczki przez okno. W chwilę potem nastąpił przytłumiony strzał, który domownicy odebrali jako moment zastrzelenia ojca, bo potem już wszelkie odgłosy ucichły. Dlaczego Jan Bińczyk podjął próbę ucieczki, a nie przyjął postawy obronnej, wyjaśniając, że wraca z leśnego obchodu? Nie wiadomo. Czy wśród agentów rozpoznał kogoś, kto wiedział o jego konspiracyjnej działalności?

ZABRALI TEŻ ZYGMUNTA

Z tego, co widziała i później opowiedziała służąca posadzona na krześle w kuchni, po strzale w kancelarii, przyszedł do kuchni po wodę jeden z oprawców. Była im potrzebna do obmycia rany postrzałowej i próby ocucenia leśniczego. Następnie zatamowali upływ krwi, położyli nieprzytomnego na kocu i czterej żołnierze wynieśli go do samochodu, który podjechał pod leśniczówkę. Chwilę potem dwaj cywile weszli do pokoju, gdzie była rodzina Bińczyków. Pytali synów leśniczego o imię i nazwisko. Bili po twarzy. Wzięli ze sobą Zygmunta. Jak się później okazało przez pomyłkę. Był wyższy od Henryka i sądzili, że jest starszy.

Jak tylko Niemcy odjechali spod leśniczówki, zabierając Jana i Zygmunta Bińczyków, Henryk pospiesznie ubrał się i uciekł do lasu, spodziewając się, że Niemcy wkrótce po niego wrócą. Tak rzeczywiście było. Jeden samochód wrócił po Henryka, ale już go nie zastał. Marta – żona leśniczego wyjaśniła, że był w szoku po dramatycznych wydarzeniach i pobiegł do lasu w niewiadomym kierunku.

ŚMIERĆ W NIEMIECKIM SZPITALU

Jana Bińczyka zawieziono do szpitala w Chojnicach, gdzie przeszedł dwie operację. Po kilku dniach przewieziono go do Stutthofu, gdzie też przeszedł operację, wreszcie w stanie skrajnego wycieńczenia organizmu Niemcy przewieźli go do szpitala więziennego na Pohulance w Gdańsku. Tam przechodził ostatnie operacje polegające na amputacji postrzelonej nogi. Szóstej operacji nie przeżył, nie wybudził się z narkozy. Według Pani Ireny ojciec zmarł 20 maja 1943 roku i został pochowany na cmentarzu w Gdańsku. Potwierdzał to jej brat Zygmunt, który tego samego dnia był kolejny raz przesłuchiwany w Gdańsku i pamiętał nietypowe zachowanie gestapowca, który przez dłuższą chwilę zakreślał w kalendarzu datę 20 maja, co nigdy przedtem, ani potem się nie zdarzyło. Zygmunt skojarzył to ze śmiercią ojca.

Tegoż 20 maja 1943 roku Marta Bińczyk z Panią Kopicką, która dobrze znała język niemiecki, pojechała do gestapo do Gdańska, by dowiedzieć się czegoś o mężu. W tym samym czasie do leśniczówki przyjechał niemiecki policjant z wiadomością, że Jan Bińczyk nie żyje. Ciało można odebrać w kostnicy szpitalnej na Pohulance w Gdańsku. Żona Marta pojechała z kilkoma jeszcze kobietami (Kopicką, Meggerową i siostrą Kopickiego mieszkającą w Gdańsku). Bińczyk był zmieniony nie do poznania. Znakiem charakterystycznym był brak lewej nogi, która była amputowana. Właściwie tylko po tym go rozpoznały.

LIST SIOSTRY ZAKONNEJ

W tym czasie okazało się, że przez ostatnie dni życia ojcem opiekowała się siostra zakonna. Napisała, jeszcze przed śmiercią Bińczyka, list – dla niepoznaki, prawdopodobnie na prośbę samego Bińczyka – adresowany do Joanny Meggerowej, żony leśniczego z Czernicy, w którym opisała sytuację leśniczego w szpitalu. Prosiła jednak, aby jej nie szukać, ani nikomu o liście – poza rodziną – nie wspominać, bo gdy się wyda, będzie to na nią wyrok śmierci. Pani Irena wspomina z pamięci treść tego listu: „Jestem siostrą zakonną. W szpitalu opiekuję się Janem Bińczykiem, leśnikiem. Proszę nie szukać ze mną kontaktu. List proszę po przeczytaniu natychmiast spalić. Leśniczy Bińczyk opowiedział mi, że przebywał najpierw w szpitalu w Chojnicach, później był przewieziony do szpitala w Stutthofie. Miał tam dwie operacje, które były nieudane. Później trafił do szpitala więziennego w Gdańsku, gdzie miał kolejne operacje. Jutro ma przejść szóstą operację. Ja już wiem, że jej nie przeżyje. Na potwierdzenie, że piszę prawdę, Pan Bińczyk podpisuje się na moim liście.” Rodzina poznała charakter pisma ojca. Bińczyk dopisał własnoręcznie: „Zostańcie z Bogiem. Jan Bińczyk”. List był celowo adresowany na Joannę Meggerową, aby nie wzbudzić podejrzeń i nie zdemaskować jego zawartości i samego nadawcy. Pani Irena nie wie, czy list został wówczas spalony. Nie widziała go więcej. Po śmierci ojca wielokrotnie słyszała, jak wieczorem klękał w kancelarii, opierał ręce o biurko i modlił się, jak za życia. Wtedy spokojnie zasypiała.

POWRÓT ZYGMUNTA

Po aresztowaniu ojca i brata Zygmunta, Irena przez kilka tygodni mieszkała u znajomych rodziny, Ryngwelskich. Później przeniosła się do Wentów w Małych Chełmach. Do Ryngwelskich zaś przyjechał Ksiądz Wrycza, który był duchowym przywódcą „Gryfa Pomorskiego”, i wielkim autorytetem dla mieszkańców Pomorza, poszukiwany przez całą wojnę przez Niemców. Po wojnie przesłuchiwany i inwigilowany przez NKWD i prosowiecki UB.

W końcu lipca 1943 roku przyjechała do Młynka z Niemiec bratowa nieżyjącej już naszej mamy Klary, z zamiarem zabrania Ireny do siebie w okolice Duseldorfu. Załatwiała formalności z tym związane, ale jeszcze musiała wrócić do Niemiec. W tym czasie niespodziewanie wrócił brat Zygmunt. Przebywał on od 4 maja 1943 roku, przez trzy miesiące na gestapo w Gdańsku, gdzie był wielokrotnie przesłuchiwany, bity i maltretowany. Nie wydał nikogo. Z Gdańska dojechał do Męcikału i nie mógł o własnych siłach dostać się do Młynka. Bińczykowie otrzymali wiadomość od Meggerów, żeby po niego przyjechać.

Marta była przeciwna wyjazdowi Ireny do Niemiec, gdyż oznaczało to dalsze rozbiecie i rozproszenie rodziny, w której zmarła już matka, zginął ojciec, Henryk ukrywał się w lesie, Zygmunt, co prawda wrócił z gestapo, ale skrajnie wyczerpany. Był tak obolały, że nie mógł spać w zwykłym łóżku, a tylko na kocu położonym wprost na podłodze. Zostali razem w leśniczówce, tylko Henryk ukrywał się w lesie.

OBŁAWA W LEŚNICTWIE MŁYNEK

Leśniczówka Młynek była systematycznie obserwowana. Rodzina Bińczyków przekonała się o tym, gdy pewnej nocy około trzeciej nad ranem przyszedł pod okno sypialni starszy z braci Bińczyków, Henryk i prosił o przekazanie do Meggerów jego ciepłych ubrań, po czym oddalił się do lasu. Po godzinie pojawili się w leśniczówce niemieccy żandarmi z pytaniem „Gdzie jest Henryk?” „Nie wiemy”, „Henryk był pod oknem, widzieliśmy go”, „To dlaczego go nie zatrzymaliście?”. To zdarzenie utwierdziło Bińczyków, że leśniczówka jest pod stałą obserwacją.

W końcu sierpnia 1943, Niemcy przeprowadzili dużą obławę w lasach Leśnictwa Młynek. Brały w niej udział dwa samoloty zwiadowcze, radiostacje, które ustawiono przy leśniczówce, wozy bojowe i duża grupa uzbrojonych żołnierzy. Niemiecki oficer zabrał Zygmunta jako przewodnika po lasach otaczających leśniczówkę. Niemcy liczyli, że znajdą bunkry z partyzantami „Gryfa Pomorskiego”. W leśniczówce została żona Bińczyka Marta z Ireną (15 lat), Witkiem (6 lat) i Krysią (3 lata). Drugi z oficerów wziął całą rodzinę i nakazał wykopanie dołu tuż za ogrodzeniem leśniczówki. Wskazywało to na zamiary Niemców. W przypadku wykrycia bunkrów, rodzina będzie rozstrzelana. Potwierdził to oficer.

Obława trwała około pięć godzin. Jak wspominał później Zygmunt, przechodzili blisko bunkrów, jednak żadnego z nich nie zlokalizowali. Po południu, wojsko niemieckie opuściło teren leśnictwa.

OBÓZ W POTULICACH

Po kilku tygodniach, 22 września 1943 roku, przyjechali Niemcy po raz kolejny do leśniczówki i oświadczyli, że cała rodzina ma piętnaście minut na spakowanie się, bo będzie skierowana do obozu koncentracyjnego. Poinformowano leśniczego Kopickiego z Asmusa, aby zajął się inwentarzem, który zostaje w Młynku. Miejscowy robotnik otrzymał zadanie przewieźć rodzinę Bińczyków do Brus. W hali kinowej gromadzono ludzi, których potem pociągiem wywieziono przez Chojnice w kierunku obozu, jeszcze nie było wiadomo, do jakiego. Żona leśniczego Kopickiego podjęła starania w urzędach niemieckich w Brusach, później w Chojnicach, aby oszczędzić rodzinę Bińczyków ze względu na małe dzieci, jednak niczego nie wskórała. Pociąg dojechał do Nakła. Dalej, do obozu w Potulicach, więźniowie dotarli pieszo, pchając skromny dobytek na podstawionych wozach.

Podczas pobytu w obozie, Zygmunt od początku ciężko pracował przy rozładunku węgla w Nakle. Racje żywnościowe były bardzo skromne. Pani Irena wspomina z wdzięcznością pomoc, jaką uzyskiwali do Kopickiej, żony leśniczego z Asmusa. Co miesiąc przysyłała dwa i pół kilograma chleba z tłuszczem. Na tyle tylko pozwalali Niemcy.

Z frontu przychodziły do obozu postrzelane wojskowe ubrania do naprawy. Irena zajmowała się ich naprawą. Ciocia Marta szyła ocieplane czapki żołnierskie. Ta odzież była kierowana na front wschodni. Dzieci: trzyletnia Krysia i siedmioletni Witek zachorowały wkrótce na tyfus. Krysia po dwóch tygodniach zmarła, Witek szczęśliwie przeżył i po sześciu miesiącach udało się go nawet przekazać pod opiekę dziadkom do Pruskiego koło Osia. Zygmunta Niemcy wywieźli do obozu pracy do Stargardu Szczecińskiego.

Porządkowym w Potulicach był Karol Cebula, który po wojnie ożenił się z wdową Martą Bińczyk. Poznali się w obozie. Za funkcję porządkowego w obozie potulickim miał on po wojnie duże kłopoty, jednak nie znaleziono zarzutów ze strony współwięźniów, które by go obciążały. Pani Irena mówi o nim jako o dobrym człowieku, który traktował ją jak własną córkę, a po latach przyczynił się do odszukania grobu Jana Biczyska, ekshumacji szczątków i przeniesieniu na Cmentarz Wojenny w Brusach. Obóz w Potulicach został oswobodzony przez Armię Czerwoną 21 stycznia 1945 roku.

RATUNEK DLA HENRYKA

Starszy syn leśniczego z Młynka, Henryk Bińczyk, do końca wojny ukrywał się w bunkrach na terenie Borów Tucholskich. Podczas obławy niemieckiej

w lasach koło Gostycyna został ciężko ranny. Zdołał jednak uciec i przy pomocy kolegów ukryć się w bezpiecznym bunkrze. Bardzo krwawił. Otrzymał pomoc lekarską, jednak z dnia na dzień stan jego zdrowia pogarszał się. Wdała się infekcja, malały szanse na przeżycie w warunkach ziemianki. Pomogli Kopiccy.

Franciszek Kopicki był leśniczym w Asmusie. Ryzyko dla rodziny było jednak ogromne. W razie wykrycia faktu udzielenia pomocy Henrykowi można przypuszczać, że wszyscy zginą, a co najmniej trafią do obozu koncentracyjnego, co najczęściej też oznaczało śmierć. Ponadto, dowódca partyzantów, przekazując Henryka pod opiekę Kopickich zapowiedział, że zdrada oznacza wyrok śmierci na całą rodzinę. Kopicka i jej syn Leszek zajęli się Henrykiem. Sprowadzili zaufanego lekarza, który opanował infekcję rany. Henryk powracał do zdrowia. W czasie pobytu Henryka w Leśnictwie Asmus miała miejsce oblawa organizowana w okolicznych lasach przez wojsko niemieckie. Sprawdzano również leśnicówkę, szczęśliwie nie odkryto obecności rannego, który leżał za drzwiami w nieużywanym pokoju pełnym nowych mebli dla córki, która niedawno wyszła za mąż. Henryk przeżył.

POSZUKIWANIA GROBU

Grupowy z obozu w Potulicach, Karol Cebula i wdowa Marta Bińczyk pobrali się po zakończeniu wojny. Dla Pani Ireny wujek Karol był najlepszym przyjacielem. Nie miał własnych dzieci, za to Irenę przedstawiał zawsze jako córkę. To on postanowił, że odszuka grób Jana Bińczyka i przeniesie jego prochy na Cmentarz Wojenny w Brusach. Nie było to zadanie łatwe. W pogrzebie Jana Biczka w 1943 roku brała udział jego żona Marta oraz Janina Kopicka, siostra leśniczego Kopickiego i Joanna Meggerowa. Jednak w czasie późniejszych działań wojennych cmentarz na Pohulance został całkowicie zburzony i zrównany z ziemią. Nie było jednego grobu, który by się ostał. Wiele lat po wojnie, po uporządkowaniu, był wręcz nie do poznania. Znikło wiele grobów, a pojawiły się nowe. Wyrośli nowe drzewa i krzewy.

W październiku 1972 roku zaczęły się poszukiwania grobu Jana Bińczyka na cmentarzu w Gdańsku. Księga cmentarna była częściowo spalona. Niepewny też był numer grobu. Na podstawie informacji z różnych źródeł odkopywano kilka grobów. Dopiero na starym cmentarzu odnaleziono grób nr 67 i dwie rosnące na nim trzydziestoletnie tuje, które były posadzone wkrótce po pogrzebie. Odkopano grób. Brakowało lewej nogi. Wszystko potwierdzało, że jest to grób leśniczego Jana Bińczyka. Prochy leśniczego zebrano w małej trumnie, przewieziono do Brus, gdzie w listopadzie 1972 roku odbył się pogrzeb na Cmentarzu Wojennym.

„POLSKA NIE ZAPOMNI”

Po wojnie Bińczykowie zostali bez rodziców, bez domu i bez środków do życia. Nie mieli nic. Pani Irena pamięta, jak ojciec Jan Bińczyk angażujący się

w działalność konspiracyjną, w pomoc Polakom ukrywającym się w bunkrach, by nie służyć w wojsku niemieckim, bądź poszukiwanym polskim patriotom mówił, że to obowiązek każdego prawdziwego Polaka, miłującego Ojczyznę. Nawet gdyby mu się coś stało, to Polska o jego dzieciach nie zapomni - mówił. Rzeczywistość powojenna okazała się całkiem inna.

TRZECH SYNÓW, TRZECH LEŚNIKÓW

Pani Irena jako młodociana nie mogła zaraz po wojnie pracować zarobkowo. Pracowała na czarno w mleczarni, później na poczcie w Nakle, za samo utrzymanie. Po ukończeniu osiemnastu lat otrzymała zatrudnienie za skromną pensję, na poczcie w Potulicach. Mieszkała u wujostwa. Później przeniosła się do Bydgoszczy, wyszła za mąż.

Witold Bińczyk, najmłodszy z braci, po wojnie ukończył liceum. Zaczynał studia leśne w Warszawie, a skończył w Poznaniu. W latach 1958-1989 pracował na terenie Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku. Najpierw w Zespole Składnic w Miastku, później na stanowisku podleśniczego i leśniczego w Nadleśnictwie Warcino. Następnie był instruktorem ds. techniczno-leśnych w Nadleśnictwie Gościno, a od 1981 do 1989, aż do przejścia na rentę inwalidzką, adiunktem w Nadleśnictwie Białogard. Zmarł w kwietniu 2008 roku.

Zygmunt Bińczyk poszedł do pracy w lesie zaraz po zakończeniu wojny, najpierw jako praktykant leśny w Nadleśnictwie Sartawice. Trafił do leśniczego Lewica koło Nowego w powiecie świeckim. Ożenił się z jedną z jego córek. Przeniósł się na teren Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Szczecinku. Ukończył Technikum Leśne w Warcinie. Pracował jako podleśniczy, potem leśniczy w nadleśnictwach Wiatrołom, Gumieńce, Polanów i Warcino. W 1983 przeszedł na emeryturę. Zmarł w październiku 2008 roku.

Henryk po wojnie, po rozwiązaniu „Gryfa Pomorskiego” wyszedł z lasu. Szukał pracy w leśnictwie. Był zakochany w lesie. Przez pół roku pracował jako podleśniczy na terenie Nadleśnictwa Laska. Zaproponowali mu leśniczówkę Młynek, jednak on nie chciał tam wracać. Wspomnienia wojenne były zbyt świeże i bolesne. Przyjął propozycję pracy w lasach OZLP w Szczecinku. Tam się ożenił. Ukończył Technikum Leśne w Warcinie. Od 1946 roku do przejścia na emeryturę w 1987 pracował na stanowisku leśniczego Leśnictwa Barnowiec w Nadleśnictwie Wiatrołom (po reorganizacji w 1975 Nadleśnictwo Dretyń). Namawiano go na studia i nawet do pracy w ministerstwie w Warszawie. Nie chciał, wybrał zawód leśniczego, na całe życie. Henryk Bińczyk zmarł w 2006 roku.

POST SCRIPTUM

23 maja 2009 roku, z inicjatywy leśników Nadleśnictwa Przymuszewo, odbyła się patriotyczna uroczystość poświęcona pamięci leśniczego Jana Bińczyka.

Uczestniczyli w niej członkowie rodziny Bińczyków, przedstawiciele Parlamentu RP, leśnicy, samorządowcy, reprezentacja młodzieży z kilku pobliskich szkół, Wojsko Polskie i członkowie grupy rekonstrukcyjnej z Męcikału, duchowieństwo, leśnicy i licznie zgromadzeni mieszkańcy regionu, głównie miejscowości powiatu chojnickiego. Podczas tego wydarzenia odsłonięto, umieszczoną na kamieniu, tablicę pamiątkową z inskrypcją poświęconą Janowi Bińczykowi.

Tadeusz Chrzanowski

Bydgoszcz – Toruń, 2008 -2009



Tablica z inskrypcją upamiętniającą leśniczego Jana Bińczyka ps. Zagłoba, posadowiona w sąsiedztwie leśniczówki Młynek 23 maja 2009 roku. Fot. Tadeusz Chrzanowski